„ZABAWKI DAWNIEJ I DZIŚ" – stała ekspozycja w Kielcach

Muzeum zabawek w starym spichlerzu

- **Jedno z pięciu unikalnych w Europie**
- **Najpiękniejsze, bo dla dzieci**

KIELCE (PAP). Po trzech latach starań, głównie Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich w Kielcach, marzenie stało się faktem. Prawdziwe, „z krwi i kości" **Muzeum Zabawek** znajduje się już we własnej siedzibie – na razie tylko w połowie zabytkowego spichlerza przy ul. Zamkowej 2 w Kielcach!

Na uroczystość otwarcia nowego muzeum przybył przewodniczący jego rady, wiceminister pracy, płac i spraw socjalnych, Henryk Białczyński; dyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków w Ministerstwie Kultury i Sztuki, dr Bohdan Rymaszewski oraz przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich.

Przekazano piękny prezent dla nowej placówki – zabawki wartości 50 tys. od Centrum Zdrowia Dziecka.

Wśród zbiorów nowego muzeum są zabawki o wartości historycznej – lalki z XVIII i XIX wieku, dziecięce instrumenty muzyczne – pianinko i mandolina z XIX w.

W działach pod hasłami: **świat lalek, gospodarstwo domowe, na spacer, w podróż, mali budowniczowie i konstruktorzy, muzyka, gry i rozrywki** znalazły się setki zabawek polskich i zagranicznych, pochodzących z XVIII, XIX stulecia, aż do czasów współczesnych.

Najgorsza maruda znajdzie tu dla siebie coś pasjonującego!

(kl)

Wielka ropa pod dnem Bałtyku?

szczegóły na stronie 5

Cześć, szkoło!

JUTRO CIĘ POŻEGNAMY!

Odświętnie, już bez codziennych emocji wejdziemy do szkoły. Po raz ostatni w tym roku zbierzemy się razem w klasie. Kwiaty. Cenzurki. Uśmiechy na twarzach. Żegnaj szkoło!

(gs)

Fot. **M. Szymański**

Mistrzostwa świata „magicznego sześcianu" – zakończone

DLA MISTRZA – POZŁACANA KOSTKA

WARSZAWA (PAP). Tylko 22,95 sekundy potrzebował na ułożenie kostki Rubika 16-letni uczeń Minh Thai, Wietnamczyk ze Stanów Zjednoczonych, żeby zdobyć mistrzostwo świata na zawodach w Budapeszcie.

Zdobył bezapelacyjnie pierwsze miejsce wśród przedstawicieli 19 krajów i tytuł mistrza świata. Uhonorowany za to został pozłacaną kostką. Drugie i trzecie miejsce zajęli: 15-letni uczeń z Holandii, Guus Schultz z czasem 24,32 sek. i 26-letni Węgier, Zoltan Labas, wynikiem 24,49 sek.

Nasz reprezentant, 17-letni uczeń warszawskiego Liceum im. Stefana Żeromskiego, Piotr Serbeński, musiał się zadowolić dalekim miejscem, uzyskując czas w granicach 37 sekund. Ale i tak jest to wynik dobry, zważywszy, że sam mistrz Rubik potrzebuje na ułożenie kostki ok. 2 minut.

(kl)

Czerwony kur – ciągle groźny

Lekceważenie przepisów przeciwpożarowych, lekkomyślna zabawa, nieostrożne obchodzenie się z ogniem oraz wady urządzeń elektrycznych – oto powody wybuchających – zwłaszcza latem i w czasie suszy – pożarów. Tylko w pierwszych dniach czerwca powstały w kraju 434 pożary, z czego 240 – w gospodarstwach rolnych i lasach!

Przed kilkoma tygodniami z powodu wadliwych instalacji elektrycznych w jednej z wiosek woj. ostrołęckiego doszczętnie spłonęło lub uległo zniszczeniu ponad 20 budynków gospodarczych należących do 8 rolników. W woj. elbląskim spłonęły 4 budynki gospodarcze, w woj. koszalińskim w wyniku zwarcia instalacji elektrycznych spłonęła prywatna ferma zwierząt futerkowych; zginęło ponad 600 listów, norek i tchórzofretek.

Iskra z parowozu spowodowała niedawno pożar lasu w woj. zielonogórskim, gdzie spłonęło ponad 16 ha lasu mieszanego. Jeszcze groźniejszy i większy pożar wybuchł w woj. piotrkowskim, gdzie pożar strawił aż 80 ha młodnika. Instytut Badawczy Leśnictwa apeluje do wszystkich przebywających na terenach leśnych o zachowanie szczególnej ostrożności. O ostrożność apeluje też Komenda Główna Straży Pożarnych.

W okresie wakacji wielu spośród Was będzie uczestniczyć w obozach, różnych wycieczkach i zabawach na świeżym powietrzu, w obejściach gospodarczych, w lesie. Pamiętajcie: każda iskra może wywołać wielki i groźny pożar, zagrożone może być nie tylko wspólne mienie czy las, ale również życie ludzkie! Pilnujcie młodszych od siebie, by nie bawili się zapałkami! Nie rozpalajcie ognisk w miejscach niedozwolonych, nie wyrzucajcie i nie pozostawiajcie na miejscach biwakowania butelek! Nie twórzcie okazji by zapłonął czerwony kur!

(ag)

Fot. **W. Wróblewski**

WTOREK Nr 53 29 VI 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKOW

Fot. **W. Wróblewski**

TWOJ WAKACYJNY HOROSKOP PRZEWIDUJE DLA CIEBIE I TWOICH PRZYJACIÓŁ MUROWANĄ ATRAKCJĘ:

WYPRAWĘ TYSIĄCA PRZYGÓD – WTP 82!

w każdym wakacyjnym numerze „Świata Młodych" na stronie 3 – WTP 82!

W lipcu i sierpniu w każdy wtorek, czwartek i sobotę - WTP 82!

Już za dwa dni w Twojej gazecie – początek WYPRAWY TYSIĄCA PRZYGÓD 82!

WU–TE–PE–82! Zapamiętaj tę nazwę!

Już w PIERWSZYM WYDANIU WTP–82 możesz m.in. zbudować pojazd z żaglem, dowiedzieć się jak być Robinsonem, zagrać w futbol do czterech bramek, sprawdzić czy możesz być dowódcą, poznać horoskop na najbliższe dwa dni. A dalej...?

WTP–82 – TO TWOJA WAKACYJNA SZANSA, LETNIĄ ŚCIEŻKĘ WYPRAWY TYSIĄCA PRZYGÓD 82 OTWIERAMY JUŻ W CZWARTEK – 1 LIPCA.

W następnym więc numerze spotykamy się wszyscy!

CO ROBIMY W NASZYM OGNISKU PRACY POZALEKCYJNEJ

Nasz „zespół gospodarstwa domowego" liczy 22 osoby – 17 dziewcząt i 5 chłopców. Mamy od 9 do 13 lat. Zespół działa przy Ognisku Pracy Pozaszkolnej przy ZSG w Sokołowie Małopolskim. Na zajęciach uczymy się przygotowywania posiłków oraz innych prac związanych, najogólniej mówiąc, z kuchnią.

Na początku roku szkolnego sporządziliśmy plan zajęć i wycieczek. Zdarza nam się często, że zmieniamy zaplanowane

dania z braku potrzebnych produktów, ale dzięki współpracy z „zespołem przyrodniczym", który uprawia działkę, a na niej różne warzywa, jakoś dajemy sobie radę.

Pracujemy w następujący sposób: najpierw naradzamy się wspólnie jak zdobyć produkty i obliczamy ile to będzie kosztowało. Sumę tę dzielimy przez liczbę uczestników i każdy opłaca swoją część. Cała nasza gromadka podzielona jest na czwórki. Na początku zajęć przewodnicząca rozdziela pracę między czwórki. Dyżurni, którzy wyznaczani są wcześniej, palą pod kuchnią, przynoszą węgiel, myją naczynia i sprzątają kuchnię. A poszczególne czwórki odpowiadają np., za ugotowanie zupy, utarcie kartofli na placki, itd. Oczywiście wszystko pod okiem instruktora. Przygotowane wspólnie dania jemy w świetlicy szkolnej. Dyżurni zawsze dbają o to, żeby były podane estetycznie.

Największą radością naszego zespołu są chłopcy. Zawsze mają fartuszki i garną się do wszystkich prac, a szczególnie do trudniejszych: obieranie i tarcie ziemniaków, przynoszenie węgla, mycie naczyń.

Tak się złożyło, że wśród naszch 5 chłopców jest trzech Grzegorzy, którzy obchodzą imieniny w marcu. W tym roku urządziliśmy im wspaniałe przyjęcie. Były to „muchomorki" i „kransoludki". Chcemy się z czytelnikami podzielić przepisami na te dania. Oto jak robi się „muchomorki": Ugotować jajka na twardo, obrać. Ostrym nożem obciąć czubki, żeby stały. Z pomidorków zrobić kapelusze, a z twarożku kropki. „Kransoludki" robi się w następujący sposób: rzodkiewkom odciąć więzy i natki – to będzie głowa. Pory pokrojone na kawałki będą stanowić tułów, który łączy się z głową za pomocą wykałaczek. Kapelusz robi się z odciętego czubka czerwonej papryki. „Muchomorki" i „krasnoludki" ustawiamy na półmisku przyozdobionym liśćmi z kapusty.

Nasze zajęcia w „zespole gospodarstwa domowego" wspaniale przygotowują nas do przyszłego życia rodzinnego, a także już dzisiaj jesteśmy przydatni w naszych domach, pomagając mamom w kuchni czy przy robieniu zakupów.

Zarząd zespołu
Bogumiła Dec i Małgorzata Stępor

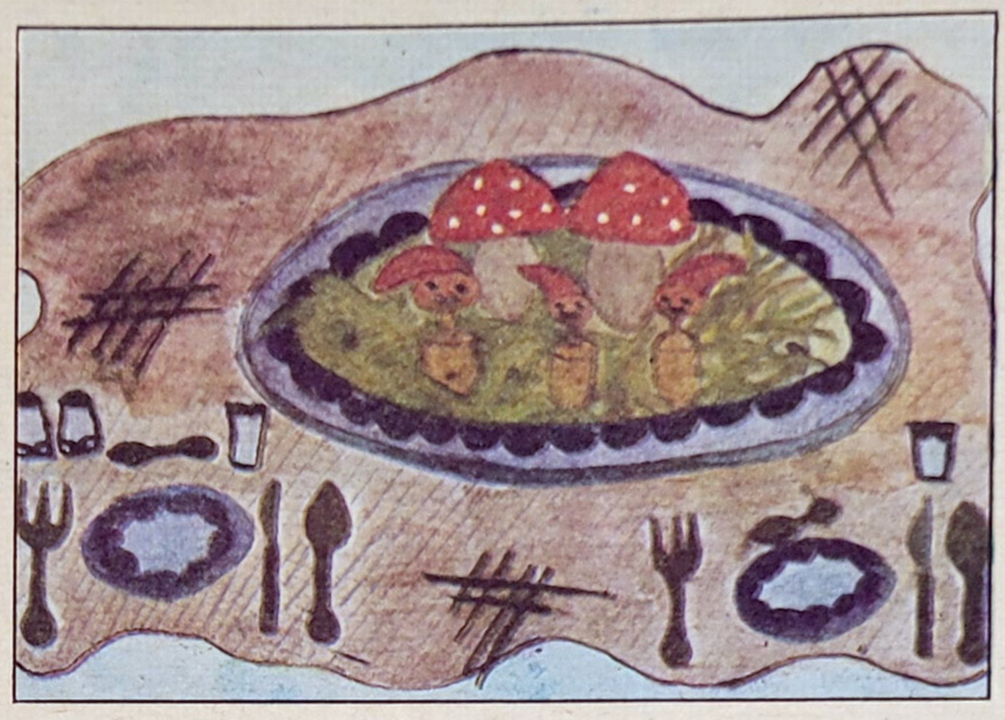

LUBIMY NASZ TEATRZYK

Od listopada 1981 r. w Osiedlowym Domu Kultury „Chemik" Siemianowickiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Siemianowicach Śl. ul. R. Luksemburg 51 działa Teatrzyk „Niespodzianka", do którego należy 17 osób. Przygotowaliśmy następujące numery:

1. „Wesołe awantury i zabawne przygody" (teksty: A. Fredry, J. Brzechwy, J. Tuwima i W. Chotomskiej);
2. „Opowieść o ludziach w pociągu" Gustawa Morcinka;
3. Aktualnie pracujemy nad „Dziewczynką z zapałkami i Kopciuszkiem w krainie baśni".

Reżyserem jest aktor Andrzej Pisarek, a muzykę pisze dla nas pani Wiesława Malasiewicz-Sacher. Z utworem Gustawa Morcinka występowaliśmy w Skoczowie, mieście, gdzie wiele lat pisarz mieszkał i pracował.

Na nasze przedstawienie, które odbyło się w Zakładowym Domu Kultury „Odlewnik" FSM przybył przyjaciel zmarłego pisarza pan Jan Broda. Przedstawienie bardzo się podobało, a nasza koleżanka Joanna Zyg otrzymała piękny bukiet róż, które naturalnie podzieliła między koleżanki. Wszyscy byli bardzo przejęci, nawet Rafał Jurkowski, który się zawsze śmieje na próbach tak, że reżyser musi go stale upominać, tym razem był skupiony i poważny. Pan Jan Broda spotkał się z nami po przedstawieniu i opowiedział nam wiele ciekawostek o Gustawie Morcinku. Trochę zmartwiliśmy się, że muzeum G. Morcinka zostało przeniesione do Cieszyna, ale pan Broda powiedział nam, że czynione są starania i że powróci ono do Skoczewa.

Członkowie teatrzyku
„Niespodzianka"

Spotkania

WAKACJE ZE STYLEM

A więc już! Nie „za parę dni, za dni parę", jak śpiewało się w popularnej kiedyś piosence z filmu „Szatan z siódmej klasy", ale już pojutrze zacznie się wakacyjne lato, bo jutro przecież ostatni dzień szkoły. Pójdziecie tam bez teczek z książkami i zeszytami, bez drugiego śniadania. Bez obaw, że wyrwie do tablicy, że nagła kartkówka. Że wyda się nieprzeczytanie książki, nierozwiązanie zadania. Pójdziecie pewnie odświętnie ubrani, może z kwiatkiem, który – chciałbym, żebyście to wiedzieli – przyjemność sprawi tylko wtedy, gdy jest szczerym „dziękuję", a nie narzuconym przez innych, obowiązującym niemalże w tym dniu rytuałem. Zresztą to „dziękuję" można powiedzieć i bez kwiatka. Nie straci ono nic na wartości, jak uśmiech na pożegnanie, jak „do widzenia", w którym kryje się rzeczywiście chęć ponownego spotkania. Choć na powtórzenie Tuwimowskiego „szkoło, gdy cię wspominam, oczy mam pełne łez" potrzeba by Wam było pewnie albo jego wieku, albo... innej szkoły...

A potem dwa miesiące wakacji! Dwa długie miesiące – sześćdziesiąt dwa dni! To chyba specjalnie z powodu wakacji lipiec i sierpień są jedyną w roku parą sąsiadujących ze sobą miesięcy, mających po trzydzieści jeden dni.

Ja wiem, że to i tak dla Was za mało i że chętnie zgodzilibyście się nie na dwa miesiące, a na dwa lata wakacji i śladem nowozelandzkich bohaterów tak właśnie zatytułowanej znanej powieści Juliusza Verne'a wylądowali wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności na samotnej wyspie, organizując sobie na niej życie prawdziwych Robinsonów i dając przy tym dowody zaradności, przyjaźni, solidarności, a czasem nawet bohaterstwa.

Takie niespodziewane wakacje można zresztą wykorzystać bardzo różnie. Bohaterów „Dwóch lat wakacji" – a i Was przy okazji – mogliby o tym przekonać chłopcy z głośnej amerykańskiej powieści Williama Goldinga pt. „Władca much", którzy w wyniku działań wojennych również znaleźli się na bezludnej wyspie. Ale nie zaradność, przyjaźń, solidarność i bohaterstwo doszły wśród nich do głosu, lecz bezradność, nienawiść i rosnąca wrogość, strach przed nieznanym, słowem całe zło, jakie może dojść do głosu w człowieku.

Wam na szczęście wakacje na bezludnej wyspie nie grożą, więc zainteresowanych nimi odsyłam do lektury: młodszych pierwszej, a straszych drugiej z wymienionych książek. Wszystkim zaś chciałbym uświadomić, że nawet w tych samych złych warunkach wakacje można spędzić różnie i różne w czasie ich trwania mogą dojść do głosu wartości.

I tu wracam do propozycji sprzed tygodnia, czyli do zaproszenia do twórczego spędzenia wakacji – niektórych z Was na harcerskim festiwalu w Kielcach, wszystkich tam gdzie zastaną ich lipcowe i sierpniowe dni. Nie, nie jest to wezwanie do nauki – do czytania lektur, powtórek i doskonalenia umiejętności w rozwiązywaniu równań z większą ilością niewiadomych, choć może i na to warto by zarezerwować trochę czasu. Chodzi mi o co innego. By wakacyjne dni nie mijały jeden za drugim puste, wypełnione jedynie czekaniem na to, co może się wydarzyć, by nie kończyły się na oglądaniu telewizji i wyglądaniu przez okno. By ich bieg wyznaczało poszukiwanie: poszukiwanie czegoś nowego w nas samych – nowych zainteresowań, umiejętności, możliwości, a także poszukiwanie wokół nas – ciekawych ludzi, nowych przyjaźni, interesujących spraw. Poszukiwanie, stwarzanie sprzyjających temu okoliczności, a nie czekanie tylko na gotowe – przy stole, przed telewizorem, u babci i na koloniach.

Twórczy styl życia łatwiej jest wprowadzić w czasie wakacji, kiedy zwykle więcej zależy od nas. Ale obowiązywać powinien na stałe. Warto się do niego przyzwyczaić, bo to sposób na prawdziwie ludzkie życie.

„Twórczość – jak pisze prof. Bogdan Suchodolski – pozwala na przekroczenie granic, jakie wyznacza ludziom postawa konsumpcyjna. W konsumpcji człowiek się nieustannie powtarza, w twórczości idzie ku temu, co nowe. Postawa konsumpcyjna uczy organizować całe istnienie wedle oczekiwanych i pożądanych zaspokojeń, postawa twórcza pozwala wyjść ponad ten poziom i podejmować działalność, która ma wartość sama w sobie, nie służąc jako środek do innych celów, działalność, która prowadzi równocześnie do wyników mających znaczenie obiektywne niezależnie od podmiotowych interesów".

Przepraszam za ten naukowy cytat, ale to tak na pożegnanie dziesięciu miesięcy szkolnej nauki i powitanie wakacji, którymi – o dziwo! – też zajmują się poważni naukowcy.

A na zakończenie życzenia: twórczego stylu na co najmniej sześćdziesiąt dwa dni!

Janek

REDAKCYJNA POCZTA

Nikt nie ma prawa czytać cudzych listów

Jestem pewna, że mogę liczyć na pomoc „RP" i jej czytelników. Czy czytanie cudzych listów jest zabronione? Niestety, nie jest zabronione. Wiem jednak, że większość czytelników zgodzi się ze mną, iż każdy jest i powinien być na tyle rozsądny, by nie czytać cudzych listów. A jednak tak nie jest. Przychodzę ze szkoły i zastaję przeczytane listy, które są do mnie adresowane. Tym czytelnikiem moich listów jest mój starszy brat. To jednak jeszcze za mało. Nie wystarczy mu czytanie moich listów. Interesuje go mój pamiętnik, który piszę od dłuższego czasu. Nie lubię, kiedy ktoś, jak mój brat, zajmuje się czytaniem nieswoich spraw.

Co mam zrobić, by nikt nie czytał moich listów i pamiętnika? (Mam tu na myśli mojego brata).

Renata

OD REDAKCJI. Otóż, Renatko, każdy człowiek ma prawo do zachowania tajemnicy korespondencji i prawo to wszyscy mają obowiązek szanować, a także przestrzegać. Twój brat postępuje bardzo niestosownie i natychmiast powinien zaprzestać czytania Twojej korespondencji, a także pamiętnika. Stanowczo tego zażądaj. I jeśli Ci to może pomóc – daj mu do przeczytania to, co na ten temat myślimy.

(bs)

Wolę mieszkać na zapadłej wsi niż w mieście

Chodzę do VII klasy szkoły podstawowej i mieszkam na wsi. Do szkoły dojeżdżam autobusem. Codziennie muszę wstawać o godz. 6,30, co nieraz sprawia mi ogromne trudności. Często zastanawiam się, gdzie jest lepiej mieszkać – w wiosce, czy w mieście. Nie wiem, czy dlatego, że od dzieciństwa wychowałam się na wsi i jestem z nią bardzo związana – zdecydowanie na pierwszym miejscu stawiam wieś. Mimo iż moje koleżanki z miasta często opowiadają o swoich wrażeniach z fajnego filmu, który był wyświetlany w kinie, lub opowiadają przeczytaną w klubie książkę. U nas na wsi nie ma żadnych klubów, bibliotek, a o kinach nie można nawet myśleć. Żyję nadzieją, że kiedyś w naszej wsi (dość dużej) będzie klub z prawdziwego zdarzenia. Ostatnio jednak straciłam wiarę na poprawę sytuacji naszej wsi, a nie chcę mieszkać w wiosce wciąż zabitej deskami.

Nadchodzą wakacje i nie chcę się nudzić, więc chętnie nawiążę korespondencję.

Małgorzata Matuszczyk
Makocice 33
32-100 Proszowice
woj. Kraków

Demograficzna BOMBA

Na ziemi żyje blisko 4,5 mld ludzi. Według szacunkowych obliczeń statystyków, w roku 2000 będzie nas około 6,4 mld. Problem przeludnienia budzi najwięcej niepokojów, ponieważ wielu ekspertów uważa, że wraz z przyrostem ludności wzrośnie głód.

Kto choć trochę obeznany jest z zagadnieniami ludnościowymi świata, ten wie, że zupełnie inaczej wyglądają problemy demograficzne Europy w zestawieniu z problemami innych kontynentów. W Azji czy Ameryce Łacińskiej eksplozja ludnościowa burzy wszelką równowagę. Sprawy rozwoju demograficznego stanowią tam podstawowy problem. Nasz kontynent ma inne kłopoty. Jeśli już dotyczą one zagadnień poziomu i tempa rozwoju ludności – to przeważnie chodzi o katastrofalny spadek przyrostu naturalnego. Europa poszukuje przyczyn i konsekwencji zbyt słabej rozrodczości w niektórych krajach. Problemy typowo europejskie – a raczej prawie wszystkich krajów rozwiniętych – to kwestie zatrudnienia, nadwyżki i braków siły roboczej oraz spowodowanych tym ruchów migracyjnych i przerzutów międzynarodowych, sprawy dotyczące zbytniej koncentracji ludności na obszarach zurbanizowanych czy też problemy związane z napięciami między różnymi grupami etnicznymi.

Demograficzny obraz Europy spędza sen z powiek rządom wielu państw. Fakt stopniowego zmniejszania się tu tempa przyrostu naturalnego – zdaniem ekspertów – utrzyma się do początku XXI wieku. W końcu lat 70-tych liczba ludności zmniejszyła się w RFN, Wielkiej Brytanii, Austrii i Szwajcarii. Przyrost naturalny nie zapewnia reprodukcji prostej – poza wymienionymi krajami – także w Szwecji i Luksemburgu. W Belgii tempo wzrostu jest zerowe, a w wielu innych krajach zbliża się do zera – wciąż wykazując tendencję zniżkową. W innych krajach rozwiniętych (Dania, ZSRR) rozważano przyznanie kobietom specjalnych świadczeń pieniężnych za urodzenie dzieci. Pewien szwedzki demograf obliczył, że utrzymanie się obecnego trendu spowoduje całkowite zniknięcie narodu szwedzkiego w ciągu około 100 lat. Jedynie w Holandii mówiono, że spadek poziomu urodzeń w tym kraju (gęstość zaludnienia należy do najwyższych w świecie) jest nawet pożądany. Eksperci uważają, że czynnikiem, który zniechęcił Europejczyków do posiadania większej liczby dzieci, była recesja gospodarcza zapoczątkowana w 1973 roku. Wydaje się jednak, że ożywienie gospodarcze nie ma związku z automatycznym wzrostem urodzeń.

Na drugim biegunie – w Indii – określa się mianem katastrofy demograficznej fakt zwiększenia się ludności tego kraju w latach 70-tych o około 140 mln, co daje łącznie prawie 700 mln mieszkańców. W tym czasie na politykę ludnościową wydano 7,3 mld rupii, ponad 20 mln odbywateli poddanych zostało sterylizacji, dzięki czemu uniknięto narodzin 37 mln ludzi. Ocenia się, że nigdy jeszcze nie wydano w Indii tak dużo pieniędzy na planowanie rodziny jak w latach 70-tych i nigdy jeszcze kraj ten nie przeżył tak wysokiego przyrostu ludności. W znacznym stopniu jest to efekt tzw. szału sterylizacji z 1976/77 roku, który doprowadził w konsekwencji do odwrotnych skutków. Nadgorliwość – jak zawsze – nie popłaca. Zdaniem wielu naukowców w krajach o takiej wielkiej śmiertelności wśród dzieci, jakim są Indie, ograniczenie urodzeń przeczy logice. Dzieci są bowiem jedynym majątkiem, jaki biedni Indusi w rzeczywistości posiadają, są często jedynym zabezpieczeniem na wypadek choroby czy na starość. Mówi o tym przysłowie z Orisy: „Dziecko ma dwie ręce i tylko jedne usta". Przeciętny Indus potrzebuje pięciu następców (a nie dwóch jak zaleca propaganda), aby zapewnić sobie w miarę spokojną przyszłość i uchronić się przed biedą. Chłopi indyjscy mówią: „Bogacz ma maszyny, a my dzieci". Dlatego też sterylizacja ma wielu przeciwników. Wśród naukowców dość popularny jest pogląd, że powstrzymywanie wysokiego przyrostu ludności zależy przede wszystkim od lepszej niż dotąd powszechnej ochrony zdrowia, likwidacji analfabetyzmu (większy dostęp kobiet do bezpłatnej oświaty) oraz większego udziału kobiet w życiu społeczno-gospodarczym (czyli sprawa ich równouprawnienia).

W Chinach – dla przykładu – osiągnięto największy spadek liczby urodzeń stosując środki administracyjne. Wiek pozwalający na zawarcie małżeństwa podniesiono dla kobiet do 23 lat, a dla mężczyzn do 25. Urzędowo uznano tam, iż wolno mieć najwyżej dwoje dzieci, z tym, że między urodzeniem jednego i drugiego dziecka musi upłynąć minimum trzy lata, gdyż w innym przypadku rodzice tracą prawo do awansu zawodowego. Za każde następne dziecko płaci się wysokie podatki lub potrącane są kary pieniężne z zarobków. Jest to tylko kilka przykładów, gdyż przepisy są o wiele bogatsze (większe mieszkania dla rodzin z mniejszą liczbę dzieci, pociechy z rodzin 2+2 mają pierwszeństwo w przyjmowaniu do szkół, pracy itp.).

Ocenia się, że spadek stopy urodzeń w Chinach i USA decyduje o niższym tempie przyrostu naturalnego na świecie dziś i w najbliższej przyszłości. Niemniej – w liczbach bezwzględnych – przyrost ten jest i tak olbrzymi. I dlatego trzeba mieć nieco wyobraźni, by przewidzieć wpływ wzrostu liczby ludności do roku 2000 na sytuację żywnościową świata. Zasoby naszej planety są ograniczone. Konsumpcja żywności wyprzedziła jej produkcję w latach 70-tych. Świat żyje od żniw do żniw. Praktycznie wyczerpały się zapasy.

Przyczyną takiego stanu rzeczy jest zarówno przyrost liczby mieszkańców w krajach Trzeciego Świata, jak i rozrzutność oraz marnotrawstwo społeczeństwa konsumpcyjnego w krajach rozwiniętych.

JANUSZ FOGLER

TAKA ZWYCZAJNA NOC

Katarzyna ma dzisiaj noc, jej dyżur zaczyna się o dziewiętnastej i potrwa do siódmej rano. Pracuje dopiero od roku w jednym z lubelskich szpitali, na oddziale wewnętrznym. Jest bardzo lubiana przez pacjentów za uśmiech, za dobre, życzliwe słowo, za troskliwą opiekę, za...

– Ona jest jeszcze młoda. Jeszcze nie traktuje swoich obowiązków rutynowo. Parę lat popracuje, to zniknie uśmiech i dobre słowo, i to oddanie, i poświęcenie ludziom leżącym w szpitalu – twierdzi pacjentka, która przebywa na oddziale już od kilku miesięcy. – Obym się myliła...

Dzisiejsza noc zapowiadała się całkiem spokojnie. O dwudziestej pierwszej Kasia rozniosła po salach leki, zrobiła kilka wstrzyknięć dożylnych, zmierzyła ciśnienie, przejrzała karty chorych. Właściwie to mogłaby się trochę przespać, ale na intensywnej terapii, gdzie walczy się z bezpośrednim zagrożeniem życia, spać nie wolno. Tutaj w ciągu sekundy wszystko może się zdarzyć. Robi więc Kasia, jak zwykle o tej porze, mocną kawę i czeka...

Do Pomaturalnego Studium Pielęgniarstwa trafiła przypadkowo. Nie, nie z zamiłowania do tej pracy czy z jakiegoś tam powołania. Ot, zwyczajnie z przypadku.

– O zawodzie pielęgniarki nigdy wcześniej nie marzyłam - opowiada. – Zdawałam na uniwersytet, na chemię. Nie powiodło mi się. I chociaż w ogólniaku byłam całkiem niezła z chemii, tak przynajmniej twierdziła moja nauczycielka, egzamin właśnie z chemii oblałam. Pech, a może szczęśliwe zrządzenie losu. Chciałam iść do pracy, chciałam w ten sposób pokazać rodzicom, że jestem już dorosła, że potrafię zarobić na siebie. Rodzice na pracę nie godzili się. Tłumaczyli po swojemu: „poczekaj jeszcze rok. Będziesz miała dużo czasu na naukę, załatwimy dobrego korepetytora. Może w przyszłym roku będzie lepiej".

– Rok przerwy – myślałam – czy będę miała na tyle siły, żeby zmusić się do nauki? Wątpiłam w swoją silną wolę. Spotkałam koleżankę, która podobnie jak ja, tyle że o rok wcześniej, nie dostała się na swoją wymarzoną anglistykę. I żeby nie tracić roku poszła do szkoły pielęgniarskiej. Była z tej decyzji zadowolona. Namówiła i mnie. „Co ci szkodzi. Rok pochodzisz, a jak ci się nie spodoba, to rzucisz". Nie rzuciłam.

Kasia spogląda na zegarek. Dochodzi godzina dwudziesta druga.

– Na „intensywnej" nie ma czasu na siedzenie. Pójdę zmierzę ciśnienie temu z „jedynki", stan prawie beznadziejny, sprawdzę kroplówki...

Po kilkunastu minutach wraca. Jest zdenerwowana. Słyszę jak mówi do lekarza „ciśnienie spada". Razem idą na salę...

Po powrocie oznajmia, że co dziesięć minut będzie wychodzić, musi mierzyć ciśnienie.

– Po roku nauki w studium nie miałam już ochoty zdawać na chemię – kontynuje opowiadanie o sobie Katarzyna. Dziś jeszcze nie potrafię powiedzieć dlaczego. Może poczułam się pielęgniarką... Lubię ten zawód i tę pracę, chociaż ciągle nie czuję się pewna w tej roli. Przeżywam każdy dzień, każdą reanimację, każdy zgon muszę odchorować. Mówią, że jeszcze się nie przyzwyczaiłam, że to przejdzie z czasem.

– Gdy skończyłam szkołę wydawało mi się, że już wszystko umiem. Kiedy jednak przyszłam tu, stwierdziłam, że jestem dosłownie zielona. Zaczęłam uczyć się prawie od początku, oczywiście już z ukierunkowaniem na „intensywną".

Dzwonek przerywa rozmowę. Kasia wychodzi. Spokojnie. Tak mi się wydaje. Po chwili wraca. Robi miksturę.

– Pacjentka nie może zasnąć. Mówi, że męczy ją ta bezsenność. Trzeba jej coś podać. – Wychodzi. Patrzę za nią.

– Dlaczego nie biegłaś? – pytam. Dzwonek o tej porze musi „elektryzować". Zawsze wydawało mi się, że po dzwonku pielęgniarka biegnie. Szybko, byle szybciej do chorego. Łapię się, że musiałam zadać okropnie głupie pytanie, bo dziewczyna uśmiecha się jakoś dziwnie.

– Nie, dzisiaj nie biegłam. Dzisiaj dyżur ma doktor P. Świetny lekarz, przy tym ogromnie wymagający i od siebie, i od innych. Kiedyś biegaliśmy tak po korytarzu, a to po wodę, a to do łazienki i on ciągle zrywał się, „bo coś się stało". Od tamtego dnia nie biegamy, bo to rzeczywiście „elektryzuje" lekarza.

– Wie pani, z pielęgniarkami to jest tak. Te młode, początkujące jeszcze są jakby trochę zastraszone. Boją się, są niepewne swoich umiejętności, brak im wprawy, dlatego na dyżurach nie śpią, chodzą przy pacjentach, chcą wszystko widzieć, wszystkiego się nauczyć. Te z kilkuletnim stażem traktują wszystko bardziej rutyniarsko. Najlepsze są te najstarsze. One mają i wiedzę, i doświadczenie. Wiedzą, czym może się skończyć przeoczenie nawet najdrobniejszego szczegółu. Być może nawet zetknęły się z tym, że chwila nieuwagi drogo kosztuje. U nas jest pani Józia. Najstarsza i wiekiem, i stażem. Jest dla mnie wzorem. Od niej można się wiele nauczyć. Nigdy nie słyszałam, by na moje pytanie czy prośbę o pomoc odpowiedziała „nie zawracaj głowy", albo „co ty w szkole robiłaś"? Chciałabym zawsze mieć ten uśmiech i to zadowolenie co ona. Czy tak będzie? Najbardziej obawiam się właśnie rutyniarstwa, momentów zniechęcenia. W końcu w każdym niemal zawodzie może przyjść taki okres. Inżynier ma czasami dosyć deski kreślarskiej, plastyk malowania. Przecież nasz zawód taki sam jak inny.

Katarzyna uśmiecha się.

– To tak o swoich zwątpieniach. Lubię tu przychodzić. Nie przeszkadzają mi kaprysy pacjentów, ich nieuzasadnione pretensje. Nie zamieniłabym tej pracy na inną, na mniej odpowiedzialną czy mniej męczącą, np. w jakimś urzędzie.

Dochodzi godzina druga. Kasia parzy drugą kawę. Znowu przechodzi po oddziale. Noc spokojna. Jeszcze „tylko" pięć godzin. Rzadko trafiają się tak spokojne dyżury... Z dołu dobiega sygnał karetki pogotowia. Kasia nerwowo spogląda w drzwi. Po kilku minutach dyżurny lekarz zagląda do pokoju: „Idę na dół. Zdaje się, że czeka nas robota. Zawał."

Ruch na korytarzu. „Stan ciężki" – słyszę przez uchylone drzwi. „Przygotować zestaw do reanimacji". Katarzyna znika za drzwiami z tabliczką „Intensywna terapia. Wstęp wzbroniony". O godzinie czwartej Kaśka uchyla drzwi dyżurki. Mówi krótko: „Chyba będzie dobrze. Powinien wyjść z tego".

DANUTA NIEDŹWIECKA

Fot. **CAF**

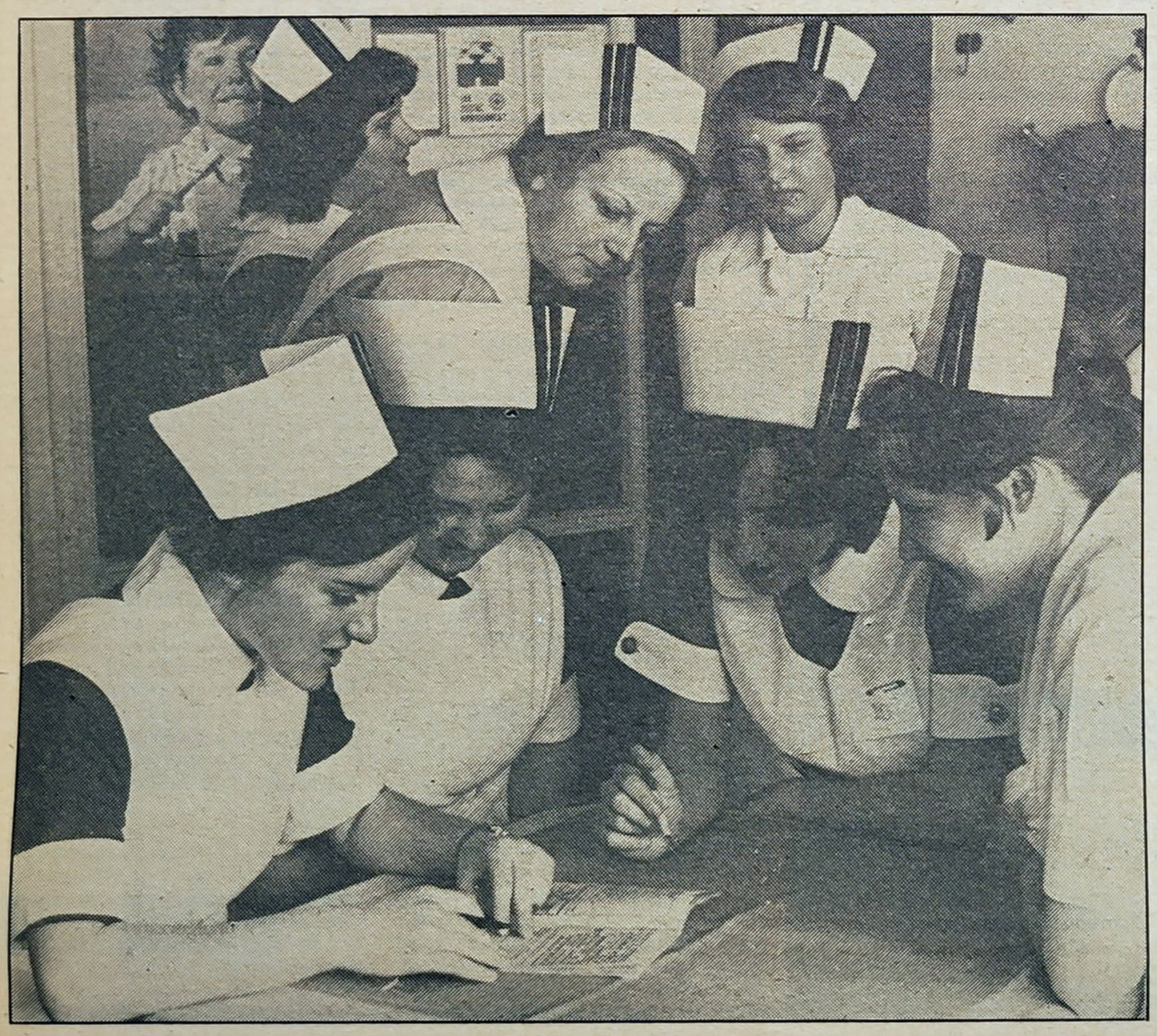

Minikary na start!

MAJĄ WSZYSTKO PRZED SOBĄ

Jest ich trzynastu zapaleńców. Garstka amatorów minikarowego szaleństwa. Trzymają się razem, jakby chcieli podkreślić więź, którą zrodziła ich pasja. Zbierają się przeważnie raz w tygodniu. Najczęściej w wolne od zajęć szkolnych soboty. Ale bywa i tak, że w tygodniu urywają po południu kilka godzin, by

spotkać się przy ulubionych pojazdach we własnym garażu. Na miejscu dokonują przeglądu sprzętu, regulują hamulce, ustawiają zbieżność kółek, a gdy dopisuje pogoda – trenują do upadłego: wiedzą, że zwycięstwo w zawodach zależy nie tylko od wysokich umiejętności samego kierowcy, ale przede wszystkim od należytego przygotowania pojazdu.

Sekcja minikarowa działająca przy kłodzkiej delegaturze Automobilklubu Dolnośląskiego istnieje zaledwie trzy lata i chociaż okres to niedługi, może poszczycić się wieloma osiągnięciami. W ubiegłym roku, podczas X Minikarowych Mistrzostw Polski w Starachowicach, w których reprezentacja Kłodzka wzięła po raz pierwszy udział – **Cezary Zubrzycki** i **Jacek Puterko** zdobyli tytuły mistrza i wicemistrza Polski. W kategorii młodszej natomiast znakomicie spisał się **Bartłomiej Brzozowski** zdobywając drugie miejsce. Zatem start w ogólnopolskich mistrzostwach minikarów mieli udany. Nawet Czechosłowacy, u których podpatrzyli, a później spopularyzowali w Kłodzku ten rodzaj sportu są zdania, że już niedługo uczniowie prześcigną mistrzów...

Po raz pierwszy zetknęli się z minikarami w 1979 roku w Czechosłowacji. Pojechali na zaproszenie zespołu z Nahodu i właśnie tam gospodarze pokazali im pojazdy. Byli nimi tak zafascynowani, że postanowili spróbować tego samego u siebie. Pierwszy wózek zmontowali im południowi sąsiedzi i dzięki temu mogli rozpocząć treningi. Dwa następne powstały już w Kłodzku. Pomogli im uczniowie technikum mechanicznego z wydziału samochodowego, którzy szukali tematu pracy dyplomowej. Korzyść więc była obopólna. Uczniowie z technikum najpierw zaprojektowali, a następnie we własnym zakresie w warsztatach szkolnych wykonali dwa minikarowe „wózki". W taki oto sposób sekcja wzbogaciła się o nowe pojazdy, a trud konstruktorów z kłodzkiego technikum zaowocował wysoką oceną prac dyplomowych.

Bazą sekcji jest siedziba automobilklubu, ale chłopcy najbardziej lubią spotykać się w garażu, który udostępniła im dyrekcja Młodzieżowego Domu Kultury. Mają wszystko co potrzeba – narzędzia, części zapasowe, kółka i opony. Przechowują tu także cały swój majątek – pięć minikarów, których dorobili się w ciągu trzech lat. Garaż i warsztat zarazem, bo wszystko to

znajduje się w jednym pomieszczeniu, stanowią pełne zaplecze sekcji. Tu odbywają się zebrania, przeglądy „wózków" bieżące naprawy, konserwacje. Tutaj tak że zawodnicy przygotowują się do treningów. Jacek Puterko, jeden z bardziej doświadczonych kłodzkich minikarowców mówi, że prawie wszystkie zimowe wolne popołudnia spędzali w garażu, wymieniali opony, regulowali układy kierownicze i malowali swoje autka. Treningi odbywają raz w tygodniu, a przed zawodami nawet częściej. Sezon dopiero się rozpoczął, a już niebawem czekają ich zawody. Chcieliby wypaść jak najkorzystniej, dlatego zależy im na większej liczbie treningów.

Bardzo ważne jest właściwe ustawienie kół i hamulców, bo niedopełnienie tych warunków może spowodować niepowetowane straty. A na zawodach bywa różnie. Liczy się przede wszystkim czas, ale nie tylko... Żeby pokonać innych trzeba „czysto" przejechać slalom między puszkami. Są one nie lada przeszkodą dla kierowcy jadącego z góry z prędkością 40 km/godz. Na starcie widzi on tylko ciągłą linię puszek. Dopiero gdy się do nich zbliży dostrzega niewielkie odstępy między nimi. Niesprawne hamulce lub przebicie opony wykluczają praktycznie jakąkolwiek szansę na korzystny wynik. Największe kłopoty mają z oponami. Te, które udaje się im zdobyć są mało wytrzymałe, szybko się zużywają, a na domiar złego pękają w najmniej oczekiwanym momencie.

W bieżącym roku minikarowcy z Kłodzka przygotowują się do XI Minikarowych Mistrzostw Polski. Chcą je zorganizować w swoim mieście. Doświadczonym zawodnikom marzą się też kolejne zawody międzynarodowe. Do niedawna jeszcze bali się Czechosłowaków. Byli przekonani, że w dziedzinie minikarów nie ma na nich mocnych. Okazało się jednak, że pokonanie faworytów leży w zasięgu ich możliwości. Na ostatnich zawodach w Czechosłowacji, w Novym Meste nad Metuji, udało się kłodzczanom zająć zupełnie korzystne miejsca. Cezary Zubrzycki przyjechał na metę dziewiąty, a Jacek Puterko uplasował się na trzynastej pozycji. Wcale nieźle jak na czterdziestu startujących...

Mają wszystko przed sobą, bo jak mówi Cezary Zubrzycki sport minikarowy jest pierwszym krokiem do dojrzałego kartingu. Tutaj można się nauczyć jazdy i jakże potrzebnej znajomości mechaniki samochodowej. A ona potrzebna jest każdemu.

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW
Fot. **Z. Bisanz**

m/s „FRANCISZEK ZUBRZYCKI" drobnicowiec uniwersalny B-438

4 grudnia 1972 r. położono stępkę pod drobnicowiec uniwersalny – pierwszą z jedenastu jednostek budowanych do roku 1979 dla Polski i Ekwadoru. B-438 jest statkiem przeznaczonym do przewozu towarów w rejonach strefy umiarkowanej i tropikalnej. Może on przyjmować różną drobnicę (w tym kontenery 20 stopowe i 40 stopowe), drobnicę chłodzoną w 6 komorach i ładunek oleju jadalnego w zbiornikach. Kontenery mogą być przewożone na pokładzie i w ładowniach wyposażonych w specjalne prowadnice.

Dla automatyzacji załadunku i wyładunku na paletach wprowadzono furty burtowe z systemem automatycznych wind pionowych oraz system transportu poziomego. Zautomatyzowana siłownia statku przystosowana jest do 16-godzinnej pracy bezwachtowej w ciągu doby. Jednostkę zaprojektował zespół specjalistów z Zakładowego Biura Projektowo-Konstrukcyjnego Stoczni pod kierownictwem mgr. inż. Zenobiusza Oleszki.

Statkowi w dniu wodowania – 10 kwietnia 1973 r. nadano imię „Franciszek Zubrzycki". Do eksploatacji oddano go 23 października 1973 r. Pozostałe statki zbudowane dla Polski otrzymały imiona: „Mieczysław Kalinowski", „Bronisław Lachowicz", „Generał Stanisław Popławski", „Roman Paziński", „Eugeniusz Kwiatkowski", „Tadeusz Ocioszyński".

Długość całkowita m/s „Franciszek Zubrzycki" wynosi – 161,00 m, szerokość – 22,92 m, zanurzenie – 9,70 m Nośność – 12 000 DWT, pojemność - 9100 BRT. Moc silnika głównego - 17 400 KM, prędkość – 21 węzłów. Załoga składa się z 41 osób. Zasięg pływania – 10 000 mil morskich. **(wm)**

Fot. **Marek Szymański**

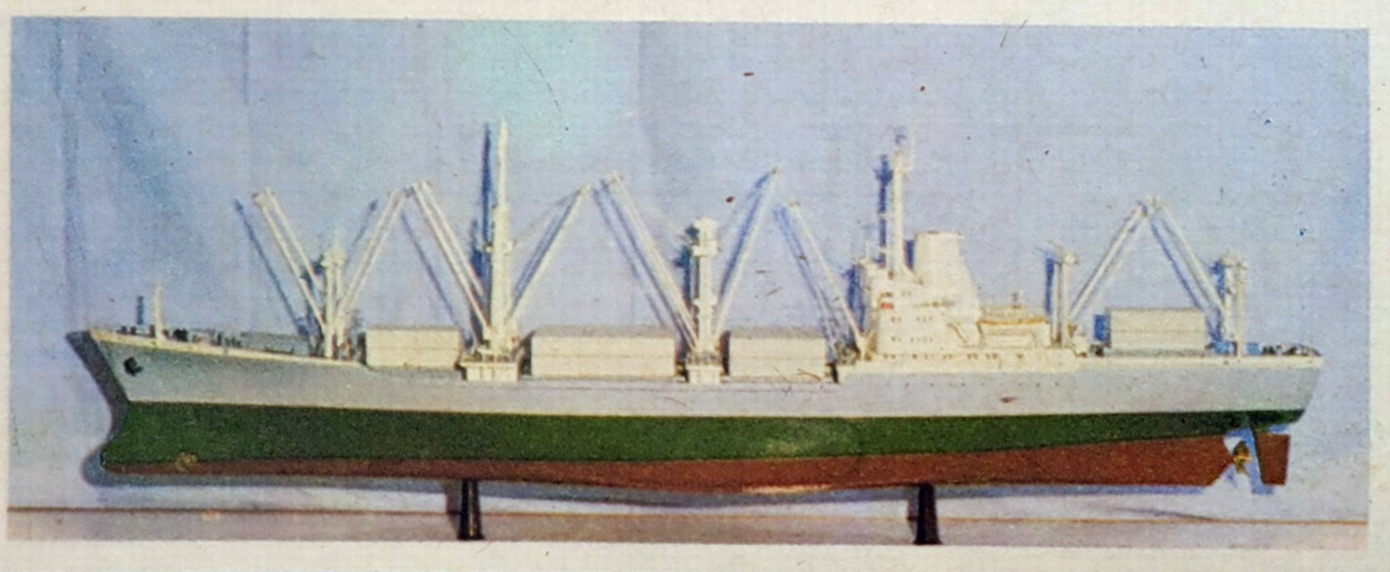

KUPON KONKURSOWY WYTNIJ ZACHOWAJ 30

OD „SOŁDKA" DO „DARU MŁODZIEŻY"

Ziemia za 500 milionów lat

Jak wiemy, Ziemia składa się z trzech warstw. Zewnętrzna – tzw. kora ziemska – stanowi mniej więcej 1 proc. promienia naszej planety. Grubość kory nie wszędzie jest jednakowa. Jeśli pod biegunem waha się od 35 do 45 km, a na terenach górzystych sięga 70 km, to pod oceanami wynosi zaledwie 5–10 km. Kora stanowi coś w rodzaju zwartej błony. Błona jest ruchliwa, w pewnych miejscach rozciąga się, w innych kurczy i grubieje. Ruchy kory spowodowane są procesami zachodzącymi w bardzo aktywnej warstwie znajdującej się między korą a jądrem Ziemi zwanej płaszczem perodotytowym.

Współczesna nauka jest w stanie za pomocą specjalnych urządzeń zmierzyć szybkość przemieszczania się kory oraz kierunek ruchów. Oznacza to, że można spróbować przedstawić mapę kuli ziemskiej za kilkadziesiąt milionów lat.

Geografia za 50 milionów lat

W tej, tak odległej, przyszłości z trudem będzie można rozpoznać kształty obecnych kontynentów i oceanów. Australia przemieści się na północ i jak buldożer zagarnie Nową Gwineę, Kalimantan, Jawę, Sumatrę i inne wyspy, przesuwając je ku południowo-wschodnim krańcom Azji. Ciężka płyta Półwyspu Indyjskiego ruszy na północ zwiększając nacisk na Azję centralną i podwyższając Himalaje, Tybet, Tjan-Szan i Pamir. Jeśli przyjąć, że Ameryka Północna i Europa będą oddalać się od siebie z szybkością 1–2 centymetrów na rok, to w ciągu 50 milionów lat szerokość Oceanu Atlantyckiego wzrośnie o 500–1000 km.

Ameryka Południowa przesunie się w kierunku północno-zachodnim. Półwysep Kalifornijski prawdopodobnie oddzieli się od kontynentu i stanie się wyspą podobnie jak dzisiejszy Madagaskar. Przesuwając się na północ Afryka niewątpliwie zawęzi znacznie Morze Śródziemne. W wyniku ustawicznego nacisku na dnie Morza Śródziemnego utworzą się skałki, które z czasem wyrosną w dość wysokie pasma górskie. Morze Śródziemne rozpadnie się w szereg izolowanych jezior, aż w końcu wyschnie zupełnie. Kontynent afrykański pęknie we wschodniej części. Już teraz zaobserwowano znacznie rozszerzanie się głębinowych szczelin w tej części Afryki. Szerokość szczelin wzrasta o kilka sentymetrów rocznie. Za 50 milionów lat centymetry dadzą setki kilometrów i wschodnia część Afryki przekształci się w wielką wyspę. Rozszerzy się Morze Czerwone. Rozmiary oceanów Atlantyckiego i Indyjskiego wzrosną, podczas gdy zmniejszy się basen Oceanu Spokojnego. Najbardziej stabilne pozostaną kontynenty Europy i Azji.

Klimat Ziemi w przyszłości

Oczywiście, wraz ze zmianami oblicza Ziemi zmieni się klimat za 50 milionów lat. Klimat półkuli północnej stanie się cieplejszy. Prawie całkowicie rozmarzną lody polarne. Ciepło na Antarktydę zaniesie prąd Golfstrom, który zwiększy swoje oddziaływanie, gdy rozszerzy się basen Atlantyku. Zamknięcie Morza Śródziemnego nasili kontynentalność obecnego klimatu śródziemnego, zimy będą chłodniejsze natomiast lata bardziej upalne. W Europie i Azji Wschodniej częstym gościem będzie tornado – silny huragan, szalejący obecnie wyłącznie w środkowych stanach USA. Klimat Australii z suchego przekształci się w bardziej wilgotny. A na Oceanie Spokojnym zmniejszy się częstotliwość występowania tajfunów. Oczywiście, ta prognoza meteorologiczna jest bardzo przybliżona. Nieco dokładniej można określić pogodę na najbliższe 100–200 lat. Badania wykazują, że klimat Ziemi oziębia się. W ostatnim 20-leciu średnia roczna temperatura w północnym Atlantyku obniżyła się z 12° do 11,5°. Na półkuli północnej powierzchnia pokryta lodowcem powiększyła się o 12 proc. Jednakże, zdaniem wielu klimatologów, pod koniec XX wieku należy oczekiwać ocieplenia. Wzrośnie intensywność rozmarzania lodów na Grenlandii, Nowej Ziemi i w Skandynawii, co spowoduje podniesienie się poziomu Oceanu Spokojnego. Największe ocieplenie przewiduje się na lata 2300–2400. Druga połowa trzeciego tysiąclecia będzie chłodniejsza.

Działalność człowieka, która staje się coraz bardziej istotnym faktem w życiu planety, także spowoduje pewne zmiany w klimacie Ziemi. Miejmy nadzieję, że będzie to działalność rozumna i korzystna dla wszystkich istot żywych i dla całej Ziemi.

opr. **JOLANTA ZDANOWSKA**

WIELKA ROPA POD DNEM BAŁTYKU? (1)

8° W SKALI BEAUFORTA

– *Platforma zgłoś się! Platforma zgłoś się! Podajcie meteo! Podajcie meteo! Odbiór!* – wykrzykuje do mikrofonu ukaefki Eugeniusz Rachowski, główny dyspozytor „Petrobalticu".

– *Stan morza dwa i pół Beauforta, widoczność osiem kilometrów, słabe zamglenia, temperatura powietrza dziewięć stopni* – chrypi głośnik, a dyspozytor skrupulatnie notuje informacje w grubym zeszycie.

„Meteo", czyli komunikat meteorologiczny jest dzisiaj pomyślny. Podstawa chmur wysoka, prędkość wiatru nie przekracza 20 m/sek. Wszystko wskazuje na to, że lot powinien się odbyć. Ale w dyspozytorni mówią, że pewności nigdy nie ma, bo morska aura jest kapryśna. Wczoraj na przykład helikopter wystartował w niezłych warunkach atmosferycznych, ale na pełnym morzu tak wiało, że zawrócił do Gdańska nie podejmując nawet próby lądowania. Jeżeli pogoda nie sprzyja, to czasami przez kilka dni łączność z platformą odbywa się wyłącznie drogą lądową.

Na ścianie dyspozytorni mapa: Bałtyk od Stilo do Kłajpedy. Na mapie sześć czarnych kółeczek narysowanych flamastrem. Każde kółeczko oznacza odwiert, czyli miejsce, w którym szukano ropy. Aktualna pozycja platformy oznaczona jest tekturowym trójkątem.

– *To będzie ponad 70 kilometrów od brzegu, na wysokości latarni morskiej Stilo* – lokalizuje miejsce naftowej wyspy inżynier Rachowski.

* * *

Do startu helikoptera pozostały jeszcze dwie godziny, jest więc czas, aby przejrzeć petrobałtycki informator **„Badania geologiczne na Bałtyku"**.

Porozumienie w sprawie wspólnych poszukiwań ropy naftowej na niemieckim, polskim i radzieckim akwenie Bałtyku podpisano w 1975 roku. Stałą siedzibą **„Petrobałticu"** jest Gdańsk. Po kilku latach badań geofizycznych w 1980 r. zakupiono w Holandii platformę wiertniczą typu **„LEVING-STON 111"** (widzicie ją na zdjęciu). Platforma posiada elektromechaniczny system podnoszenia, nowoczesne urządzenia energetyczne, wiertnicze i przeciwwybuchowe. Stalowy ponton w kształcie trójkąta równobocznego o długości boku ok. 60 metrów w czasie pracy wieży wiertniczej oparty jest na trzech stalowych „nogach", z których każda mierzy 127,5 m. Z platformy można wiercić otwory do głębokości 6000 m. Załoga składa się ze specjalistów trzech krajów: NRD, ZSRR i Polski. W maju 1980 roku podniesiono na jednostce polską banderę. W tym samym miesiącu w odległości 70 km na północ od Rozewia odkryto roponośne złoża o znaczeniu przemysłowym.

* * *

Krótka odprawa na lotnisku i 12 pasażerów zajmuje miejsca na pokładzie czerwonego MI-8. Oprócz 7 osób, wysyłanych przez Główny Urząd Morski na egzamin dźwigowy, leci jeszcze inwentaryzator powracający z urlopu marynarz oraz trzech dziennikarzy z prasy stołecznej.

Przepisy bezpieczeństwa nakazują, aby w czasie lotu wszyscy byli ubrani w gumowe kombinezony i kamizelki ratunkowe. W nagrzanym słońcem śmigłowcu jest gorąco, jak w piecu, więc informacja nie wzbudza raczej entuzjazmu. Ale protestów też nie słychać. Lepiej pocić się przez 45 minut niż prowokować los. Licho nie śpi...

* * *

Na pierwszy rzut oka platforma w niczym nie przypomina bazy wiertniczej. Zielony pokład, białe poręcze i nadbudówki, czerwone burty. Wszystko lśni. Ani śladu poszukiwawczego rozgardiaszu, żadnych rur, prętów, desek, szlamu – nieodłącznych rekwizytów badań geologicznych. Gdyby nie nieustanna wibracja, wysokie narożne wieże i ubrany w srebrzysty kombinezon strażak, asekurujący lądowanie, trudno byłoby uwierzyć, że od wielu dni trwają tu roboty wiertnicze.

Krótki odpoczynek, mała kawa w świetlicy i pora na zwiedzanie platformy. Przed wyjściem na pokład Henryk Mickiewicz – główny mechanik petrobałtyckiej wyspy udziela nieskomplikowanego instruktażu BHP:

– *Nie palić! Nie zdejmować kasków! Trzymać się poręczy, bo trapy są strome!*

Ostatnie zdanie wypowiedziane jest tonem żartobliwym. Morze jest spokojne i na pokładzie prawie nie czuć kołysania. Ale Mickiewicz mówi, że nie zawsze na platformie jest tak bezpiecznie. Przed trzema miesiącami była taka nawałnica, że nawet marynarze, którzy niejeden sztorm przeżyli, mieli duszę na ramieniu.

– *Fale sięgały 10 metrów wysokości. Kilkutonową pompę na burcie złamało jak zapałkę. Siła wiatru dochodziła do 8 stopni w skali Beauforta. Platforma ma wysokość kilkunastopiętrowego budynku, więc istniała realna możliwość wywrotki. Na szczęście skończyło się na strachu...*

Fot. **autor i archiwum**

(cdn)

JUSTYN OPARA

O drugiej żonie Gerda Wolffa, – petrobałtyckim języku i – pracy na stalowej wyspie przeczytajcie w następnym numerze.

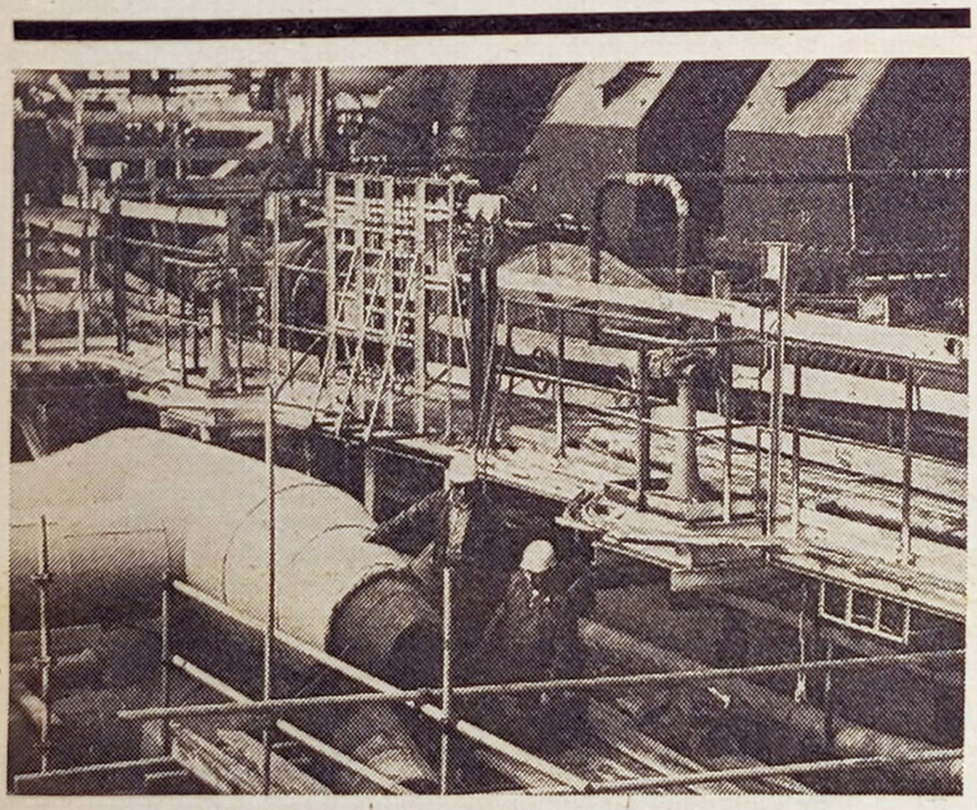

W ramach współpracy krajów RWPG podejmowanych jest wiele wspólnych przedsięwzięć w różnych dziedzinach gospodarki. Na zdjęciu widzicie montaż kolejnego turbozespołu o mocy 500 MW w elektrowni Boxberg, budowanej na terenie NRD. Elektrownia ta będzie miała moc 3 520 MW, a wznoszą ją wspólnie – ZSRR, Polska. Węgry, CSRS i Jugosławia.

Fot. **CAF**

LETNIA AKADEMIA

Przeprawa stada w filmie „Ostatni zachód słońca" – Roberta Aldricha

Pojutrze wakacje. Zapraszam więc wszystkich chętnych do Letniej Akademii „Gwiazdozbioru".

W ubiegłym roku patronowała jej sympatyczna myszka, a teraz naszym przewodnikiem będzie mustang. Przed nami więc osiem spotkań z bohaterami westernu. W naszym cyklu przypomnimy najsłynniejsze, klasyczne już pozycje z tego gatunku filmowego tak prawie starego, jak samo kino. Będziemy przemierzać prerie na pograniczu meksykańskim i kanadyjskim. Obserwować, jak prawo, które uosabiają ludzie ze srebrną gwiazdą na piersi zwycięża brutalną przemoc. Podziwiać romantykę życia XIX wiecznych osadników. Przypomnimy sylwetki artystów, którzy właśnie dzięki westernowi stali się ulubieńcami publiczności.

Pierwsze filmy z Dzikiego Zachodu pojawiły się już w ubiegłym stuleciu – były to historyjki zaledwie paruminutowe, raczej scenki obyczajowe niż fabularne opowiastki. Już wcześniej natomiast powstała bogata literatura westernowa, która mało miała wspólnego z prawdą historyczną o podboju Dzikiego Zachodu, ale za to podsuwała młodej i chłonnej publiczności amerykańskiej wspaniały sugestywny obraz zmagań z Indianami i dziką przyrodą, obraz w którym miło było doszukiwać się własnych korzeni. Klasykiem tej literatury był James Fenimore Cooper, którego naśladowały rzesze podrzędnych literatów. Z tej, brukowej właściwie literatury bez ograniczeń korzystali poszukujący nowych, atrakcyjnych tematów scenarzyści filmowi. Trzeba przyznać, że już wtedy prymitywne opowiastki nabierały na ekranie zupełnie innego wymiaru. Film je nobilitował, tworząc Legendę Dzikiego Zachodu. Na taśmie filmowej prymitywni kowboje, traperzy, hodowcy bydła, poszukiwacze złota, szulerzy i rewolwerowcy zyskiwali cechy heroiczne. Ich moralność była zrozumiała i ponętna dla nowego amerykańskiego społeczeństwa, w którym wielu ludzi nie znało nawet dobrze języka kraju, w którym chciało żyć. Niemy film był sugestywny i dostępny dla wszystkich.

Pierwsze westerny pokazują przygody na ogół całkowicie zmyślone, ale udział w nich biorą postacie o nazwiskach autentycznych. To również sprawiało, że w western po prostu wierzono.

Oficjalnie historia filmowego westernu rozpoczyna się od dziesięciominutowego „Napadu na ekspres" (1903 r.) Edwina S. Portera. Scenariusz tego filmu opowiadał o autentycznym i bliskim, bo z 1900 r. wypadku obrabowania pocztowego wagonu przez zuchwałych opryszków. Film okazał się wydarzeniem, ze względu na nowatorską technikę kręcenia, jaką posłużył się jego twórca. W okresie kiedy montaż dla osiągnięcia efektów dramatycznych był nieznany, akcja filmu toczyła się na przemian w plenerze i we wnętrzach, i to zachowując absolutną ciągłość. Nowatorskich chwytów Porter zastosował jeszcze wiele. Jego kamera umieszczona na lokomotywie filmowała pociąg w biegu, wprowadził zbliżenia i rodzajowe scenki, które rozszerzały ogólne tło fabuły. Dynamiczna scena końcowa zaś równie dobrze mogłaby posłużyć i dziś kręconemu westernowi. Dzielących łupy bandytów otaczają cowboye. Wywiązuje się strzelanina. Tych, którzy usiłują konno uciekać, dosięgają sprawiedliwe kule ścigających.

„Napad..." cieszył się ogromnym powodzeniem i wywołał falę naśladownictw. Western rozwijał się i wzbogacał nie tylko w dziedzinie efektów, ale i w sferze treści. Już w roku 1908 anonimowy film pt. „Kowboj i nauczycielka" wniósł trwale do westernu wątki melodramatyczne. Pierwsze płótnem kryte wozy osadników pojawiły się dwa lata później w filmie „Pionierzy przechodzą prerię", problem indiański zjawia się w „Sercu Indianki" i w „Mężu Indianki" już w roku 1912. Równocześnie zaczyna święcić swe ekranowe triumfy federalna kawaleria. I tak dochodzimy do bohatera westernu, typowego kowboja. Stworzył go Max Aronson, alias Gilbert M. Anderson – scenarzysta, reżyser i aktor w jednej osobie – mityczny Broncho Billy. On stał się centralną postacią, której losy skupiały uwagę widowni. Publiczność pokochała nowego bohatera, a Anderson zdobył sławę, pieniądze i miejsce w historii kina.

Do raczkującego westernu w naszym cyklu z mustangiem wracać nie będziemy. Musieliśmy jednak choć powierzchownie przypomnieć sobie te zamierzchłości, łatwiej nam będzie bowiem zauważyć, jak bardzo western się zmienił, jak przełamał swe prawie wszystkie, wydawałoby się, żelazne konwencje. Życzę dobrej zabawy i podobnie, jak rok temu, już zapowiadam, że naszą LAG zakończy konkursowy sprawdzian.

oprac. EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

HEJ, WAKACJE!

DOM MODY świata młodych

Nareszcie, prawda?! Można zamknąć oczy, twarz wystawić do słońca i zagwizdać sobie beztrosko jakąś wakacyjną melodię. Tak jak ta dziewczyna na zdjęciu poniżej, która nie tyle prezentuje ciuch jakiś szałowy, ile uosabia ową wakacyjną ulgę – że szkole można już powiedzieć „pa-pa!" i pogrążyć się w wakacyjnym błogostanie. Jakże miłym!...

Nie dla wszystkich jednak! Niektóre z Was jeszcze książek i zeszytów nie zdążyły do najgłębszej szuflady wcisnąć, a już stoją przed kolejnym problemem – trzeba się pakować, bo wyjazd tuż-tuż. Wydawałoby się może, że problem to jakiś... wydumany, ale – nie ja go wydumałam. Co roku o tej porze (i teraz też) czytam sporą paczkę Waszych na ten temat listów: „co zabrać na obóz?", „jakie sukienki (!) najodpowiedniejsze będą na spływ kajakowy?", „czy w walizkę się pakować czy może w torbę lub plecak?", „ratunku, zapakowałam same najniezbędniejsze rzeczy, a kufra udźwignąć nie daję rady!"

Co roku zresztą na ten temat pisuję, więc może bardziej wierne moje czytelniczki poczują się już znudzone, ale – myślę, że sprawa jest ważna. Bo tak, wakacyjny wyjazd to świetna sprawa, ale nawet najświetniejszy skądinąd wyjazd można sobie zepsuć nieodpowiednim ekwipunkiem. Z różnych względów nieodpowiednim – bywa, że się czegoś bardzo potrzebnego nie wzięło i bywa, że nadmiar wcale niepotrzebnych ciuchów tylko kłopot sprawia. Ta ostatnia wersja jest grzechem popełnianym najczęściej – nie dość, że człowiek się nadźwiga, to jeszcze nie ma tego na miejscu gdzie trzymać.

Rozumiem, skąd się ten grzech wywodzi. Człowiek sobie sprawił przed wakacjami to i owo, to mu potem żal którąś ze szmatek w domu zostawić. a jednak – rzadko kiedy trzeba się tak silną wolą wykazać, jak właśnie podczas pakowania wakacyjnego ekwipunku. Charakter potrzebny jest nie byle jaki, żeby rzeczywiście zabrać ze sobą jedynie najniezbędniejsze rzeczy. Zwłaszcza, że w naszym klimacie samych tych najniezbędniejszych jest całkiem sporo. Nawet jak się wyjeżdża na tydzień, to trzeba zabrać ze sobą coś na dni chłodne i coś na dni deszczowe. A tak się składa, że te kurtki, ciepłe swetry, grube skarpetki czy kalosze, to akurat sporo ważą i miejsca co nieco zajmują. Więc na tę resztę zostaje go niewiele.

Myślę, że bezwzględnie, obojętnie czy jedzie się na obóz pod namiotami czy do cioci lub na wczasy, trzeba ze sobą zabrać: długie spodnie, kurtkę i ciepły sweter (jak kurtka cieńsza, to sweter grubszy i na odwrót), obuwie do codziennego biegania (np. tenisówki) oraz chroniące od deszczu (najlepiej kalosze), 2-3 pary skarpetek i 2–3 cieńsze bluzeczki, przybory do mycia, ręcznik, płaszcz z cienkiej folii plastikowej. Reszta zależna jest już od tego, dokąd się jedzie. W miejscowości wczasowej przydatna będzie sukienka lub nawet dwie, podczas gdy na spływie kajakowym czy obozie pod namiotami nie będą one miały absolutnie żadnego zastosowania. Najwyżej spódniczkę jakąś kretonową można dopakować – niby, że np. na jakieś tańce się przyda, ale i to nie zawsze, bo na obozie przyjęte jest tańczyć w spodniach albo w szortach. Jak warunki spartańskie (namioty), to raczej same spodnie wchodzą w grę. I tych z kolei trzeba mieć wówczas nie jedną parę, ale co najmniej dwie lub nawet trzy. Jak zmokną, to w takich warunkach mogą się i trzy dni suszyć, a w czym wtedy chodzić?! A oprócz grubego swetra bardzo się przyda cieplejsza bluzka z długim rękawem (np. flanelowa), albo drugi, cieńszy, sweter, też z długim rękawem.

Jeśli się będzie mieszkać w budynku, potrzebne będą kapcie (na obozie całkowicie zbędne) i przyda się bardzo jakiś szlafroczek, w którym można chodzić do łazienki. Najpraktyczniejsza byłaby po prostu rozpinana z przodu kretonowa sukienka – do noszenia na plażę i do używania w charakterze szlafroczka. Jeśli się jedzie na wakacje do miesjcowości bardzo cywilizowanej, można sobie śmiało darować kalosze (niezbędne w warunkach trawiasto-lesistych), a za to zabrać jakieś lepsze sandałki, które z kolei w lesie można najwyżej powiesić na konarze w charakterze maskotki. Jeśli wiadomo, że człowiek będzie miał dostęp do żelazka, można zabrać jakiś ciuch z rodzaju tych, co wymagają prasowania (chociaż na ogół na wakacjach nie chce się prasować), ale jeśli ten dostęp jest wątpliwy, to zabiera się wyłącznie takie rzeczy, które żelazka oglądać nie potrzebują. To samo dotyczy możliwości prania i suszenia – jak wiadomo, że ich nie będzie, to z białych bluzeczek (choć szalenie stylowe) trzeba zrezygnować na korzyść nieco ciemniejszych.

W co się pakować? Są trzy możliwości – walizka, torba turystyczna, plecak. Plecak się najwygodniej nosi, jeśli więc w perspektywie masz spore przemarsze ze swoim bagażem, to najlepszy będzie plecak. Mimo że w plecaku rzeczy bardzo się gniotą. Nie gniotą się (a przynajmniej gniotą się najmniej) w walizce. Jeśli więc z góry wiesz, że tam dokąd jedziesz nie będziesz dysponowała nawet kawałkiem szafy czy półki, warto zabrać walizkę, bo można w niej będzie w czasie pobytu trzymać część swoich rzeczy. Ale walizka, zwłaszcza ciężka, jest szalenie niewygodna do niesienia – trzeba to wkalkulować przy podejmowaniu decyzji. Z kolei torba turystyczna ma same wady – tak jak walizka jest niewygodna do noszenia i tak jak w plecaku, wszystko się w niej gniecie. chociaż więc torby są modne, to ja – odradzam.

A w ogóle z tym noszeniem bagażu, to jest tak, że w domu, w czasie pakowania, wydaje się on człowiekowi lekki, a potem w drodze, z każdym kolejnym metrem, który trzeba z nim przejść – coraz cięższy. A waży wszystko. Nie tylko te kalosze, ale i każda, najcieńsza nawet i mgiełkopodobna bluzeczka swoją wagę ma. Więc przy pakowaniu się trzeba myśleć perspektywicznie – że 5 deka i 5 deka, to razem 10 deka. Pod rozwagę to daję tym z Was, które sądzą, że letnie i lekkie ciuchy można pakować do walizki (czy plecaka) całkiem bezkarnie. To jeszcze zależy od tego, jaka jest sama podróż. Jeśli się jedzie bezpośrednio z miejsca na miejsce, a jeszcze tu ktoś odprowadzi, a tam na stację wyjdzie – takie dorzucanie tych 5-dekowych szmatek (byle z umiarem!) nie jest najgroźniejsze, ale jeśli podróż ma być skomplikowana, z przesiadkami – to ja bym się zawahała, czy ta kolejna, całkiem niby leciuteńka szmatka, będzie mi rzeczywiście niezbędnie potrzebna. Bo – szkoda wakacji na dźwiganie niepotrzebnych ciężarów.

A w ogóle, to życzę ich Wam udanych, słonecznych, sympatycznych i pełnych niezapomnianych wrażeń!

RIUSZKA

RECENZJE TOMIKA

Chciałbym poinformować czytelników „TOMIKA" o pojawieniu się w księgarniach następujących książek: – ze wznowień: Hoimara von Ditfurtha pt. „Dzieci Wszechświata", „Na początku był wodór", „Duch nie spadł z nieba". Stanisława Lema, „Powrót z gwiazd". Polecam również następujące pozycje, które ukazały się w ostatnim czasie, są to książki: Wojciecha Kopczyńskiego i Andrzeja Trautmana pt. „Czasoprzestrzeń i grawitacja", Erika Simona i Reinharda Heinricha pt. „Pierwsze podróże w czasie". Antologia, opowiadań science-fiction pisarzy węgierskich pt. „Gwiazdy galaktyki", Wyboru opowiadań dokonali: Czesław Chruszczewski i Peter Kuczka. Życzę wszystkim czytelnikom „TOMIKA" pomyślnych zakupów w księgarniach.

Zdzisław Oszurko
ul. Mieszka I 2a/26
74-125 Chojna

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Astronomią i astronautyką interesują się: **Krzysztof Operucz**, ul. Krasińskiego 21/15, 00-566 Warszawa. Uwaga, Krzysztof poszukuje następujących książek Ditfurtha: „Dzieci wszechświata", „Na początku był wodór", oraz „Duch nie spadł z nieba". **Nikodem Miranowicz**, ul. Gabrieli Zapolskiej 14/105, 85-149 Bydgoszcz. **Paweł Wiśniewski** (11 l), ul. Grunwaldzka 12c/8, 99-800 Kutno. Astronomią, astrofizyką, ufologią: **Janusz Kobyra** (12 l.) oraz **Jakub Leciejewski** (12 l.) ul. Osińskiego 12, 14-400 Pasłęka. Astronomią, astronautyką, kosmologią i meteoretyką: **Leszek Gruchalski** (13 l.), ul. Prosta 16/13, 07-200 Wyszków. Życiem pozaziemskim, UFO, Trójkątem Bermudzkim: **Beata Nowak** (12 l.) Jabłówko 7, 83-212 Bobowo, woj. gdańskie. Interesuje się głównie fantastyką i chce stworzyć klub zajmujący się tą tematyką **Robert Pachocki** (16 l.), ul. Krasińskiego 20/3, 01-581 Warszawa. Astronomią, UFO, fantastyką, łącznością z cywilizacjami pozaziemskimi: **Tomasz Winiarczyk** (11 l.) ul. Kazimierza Wielkiego 9/40, 20-611 Lublin. Kosmonautyką i przybyszami z innych planet: **Robert Dzik** (12 l.) oraz **Bartek Wojciechowski** (11 l.) ul. Obrońców Stalingradu 18/1, 14-400 Pasłęk.

UWAGA: zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

Jarosław Patrzałek powraca dziś raz jeszcze do problemu zbrojeń w kosmosie, a szczególnie do użycia broni laserowej. Przytoczone przez niego zamierzenia Pentagonu nie są fantazją, lecz jak najbardziej realną groźbą przeniesienia zbrojeń w przestrzeń okołoziemską. Jeśli więc nie dojdzie wcześniej do porozumienia międzynarodowego ustalającego kosmos strefą wyłącznie pokojowych badań może nastąpić nowa spirala zbrojeń na skalę nie spotykaną dotychczas. Czym to grozi całej ludzkości lepiej nie mówić. Bądźmy jednak optymistami.

Polecam również interesujące opracowanie Grzegorza Fraja na temat istnienia hipotetycznych planet wokół innych gwiazd.

Prezes

PLANETY KRĄŻĄCE WOKÓŁ INNYCH GWIAZD

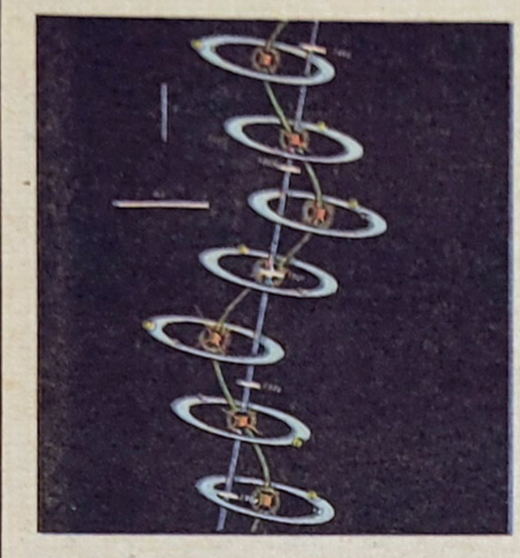

Oto wykres drogi (linia zielona) gwiazdy Barnarda za ostatnie 40 lat. Wyraźne „wężykowanie" tej gwiazdy świadczy, iż wokół niej krążą jakieś planety

Problem, czy wokół innych gwiazd krążą planety podobne do Ziemi, a w każdym bądź razie w ogóle planety, jest nie mniej ciekawy niż zagadka życia we wszechświecie. Jak dotychczas, jesteśmy przekonani, że do powstania życia potrzebna jest odpowiednia planeta. Dlaczego odpowiednia? Jowisz na przykład też jest planetą, a życia na nim nie ma. Ziemia również jest planetą, lecz życie na niej istnieje, czego dowodem jesteśmy choćby my sami – ludzie. Mało tego, aby powstała cywilizacja, warunki panujące na danej planecie również muszą być odpowiednie. Życie bowiem, to sprawa bardzo ogólna (przynajmniej na Ziemi). To przecież i glony, i bakterie, i zwierzęta, i również człowiek. Aby powstało życie rozumne, czyli tzw. cywilizacja, materia organiczna od postaci najprostszej do skomplikowanej, musi ewoluować według ścisłych reguł – reguł życia.

Oto podstawowe czynniki wpływające w jakże dużym stopniu na ewolucję materii ożywionej: odpowiednia planeta, odpowiednie warunki panujące na jej powierzchni, tj. atmosfera, klimat, hydrosfera, a ponadto decyduje jeszcze odległość od gwiazdy centralnej czyli położenie w tzw. ekosferze. Ponadto musi krążyć dookoła gwiazdy pojedynczej, ponieważ na gwiazdach wielokrotnych (tj. na planetach krążących wokół nich) warunki mogłyby się zmieniać bardzo szybko. Poza tym, na planecie takiej mogłoby występować zjawisko beznocy, polegające na tym, że gdy jedna gwiazda układu zachodzi, druga wschodzi, i tak na zmianę w nieskończoność. Ludzie dotychczas nie obserwowali bezpośrednio obcej planety dalekiego słońca. Jednak o istnieniu (ewentualnym) tych planet można przekonać się metodami pośrednimi, tzw. badaniem ruchów subtelnych gwiazd. Jeśli bowiem gwiazda jest bez okrążającego ją ciała mniejszego, to jej droga w rzucie na sferę niebieską daje idealny łuk, natomiast gdy wokół badanej przez nas gwiazdy „coś" krąży, to ruch gwiazdy będzie nałożeniem się dwóch ruchów i wtedy powstaje tzw. wężykowanie. Planety, choć są z reguły o wiele mniejsze od gwiazd, a co za tym idzie – o wiele lżejsze – w minimalnym choćby stopniu – ale jednak oddziałowują na gwiazdę wokół której kążą. Gdy planet jest więcej, ruch gwiazdy stałej staje się coraz to bardziej skomplikowany – jest tym bardziej zawiły, im więcej jest planet. Jest tak dlatego, gdyż każda planeta oddziałuje na gwiazdę osobno. Jednak gdyby znaleziono w układzie gwiezdnym wielokrotnym planety, czy choćby planetę, to życia by na niej chyba nie znaleziono.

Prawdopodobnie wokół gwiazd – Barnarda, epislon Eridani czy tau Ceti krążą jakieś małe ciała (być może planety) lecz potwierdzenie tego ze stuprocentową pewnością jest w tej chwili, z przyczyn bardzo prostych, niemożliwe. Po pierwsze: planety są bardzo małe, w porównaniu z gwiazdami. Nie potrafimy zobaczyć tarczy gwiazdy, choćby najbliższej, a co dopiero mówić o planetach. Ponadto planeta to nie gwiazda, choćby mała, a więc nie świeci światłem własnym, a odbitym, a to daje bardzo zaniżony efekt „świecenia" planety.

Istnieją również gwiazdy (Syriusz, Procjon), wokół których krążą również ciała małe, lecz nie gwiezdni towarzysze słońc – planety, a ogromnie zagęszczone, niejako karłowate gwiazdki. Ich średnia gęstość wynosi kilogramy a nawet dziesiątki i setki kilogramów na 1 cm³. Tak więc np. Syriusz B ma średnią gęstość równą 27000 g/cm³. Te karłowate gwiazdki, choć są zbliżone do Ziemi swą wielkością (!) całkowicie nie zasługują na miano planet. Należą one bowiem do tzw. podkarłów gwiezdnych, o typie widmowym począwszy od AO i temperaturze powierzchni do 10.000°K. Wokół tzw. olbrzymów i nadolbrzymów, takich jak np. zeta Woźnicy, również krążą małe karzełki gwiazdowe, Jeans – słynny astronom angielski – powiedział o tym dziwnym układzie: „...zupełnie jakby słoń z mrówką umówił się na wspólną wędrówkę". Zeta Woźnicy to gwiazda 300 razy przewyższająca średnicę Słońca, a karzeł, który ją okrąża jest wielkości dosłownie Ziemi! Ponadto ogromne wręcz zagęszczenia tych karłów sprawiają, że niekiedy ich masy są niewiele mniejsze od masy Słońca.

Być może gdzieś we wszechświecie, na jakiejś obcej i dalekiej planecie, istnieje cywilizacja, która tak jak my, usilnie poszukuje kosmicznego towarzystwa. Gdy między nimi a nami nastąpi kontakt, cóż wtedy? Naprawdę, trudno to jest przewidzieć.

Grzegorz Fraj (15 l.)
ul. Żytnia 20
71–006 Szczecin

LASER W KOSMOSIE

Pod wpływem nowych informacji zdecydowałem się napisać następny artykuł o zbrojeniach w kosmosie (jakby dokończenie publikacji pt. „Zagrożenie z kosmosu").

Otóż w planach tworzenia nowych broni szczególne miejsce odgrywa kosmos. Jedna trzecia spośród planowanych na najbliższe dziesięciolecie 400 lotów kosmicznych statków typu Shuttle wiąże się z wcieleniem w życie programów militarnych. Pentagon łączy z nimi doskonalenie broni laserowej i innej broni promieniującej. Głównym zadaniem laserów umieszczonych w idealnych warunkach kosmicznych będzie niszczenie sputników, rakiet międzykontynentalnych, wysoko latających samolotów oraz instalacji radarowych potencjalnego nieprzyjaciela. USA dokonały już prób z laserami w warunkach ziemskich. Jak donosi dziennik „Los Angeles Times", w roku 1973 laser amerykańskich sił powietrznych strącił samolot bezzałogowy, a w roku 1976 laser sił lądowych – samoloty i śmigłowce bezzałogowe. „New York Times" informuje, że w okresie od marca 1980 Pentagon wydatkował na prace nad bronią promieniującą 2 miliardy dolarów. Pierwsze próby z działkami laserowymi w kosmosie planuje się jeszcze w tym roku.

Może się jednak znaleźć obrona i przed bronią laserową (silnie odbijające materiały). Zapowiada się więc nowy etap wyścigu zbrojeń, przygotowanie silniejszej broni promieniującej, przebijającej najtrwalsze materiały i stopy. Doniesienie agencji UPI wkracza niemal w dziedzinę fantastyki; w USA opracowuje się akceleratory elektronowe (!). Są one przeznaczone do niszczenia rakiet w locie. Ponadto za pomocą statków kosmicznych wielokrotnego użycia Pentagon zamierza w ciągu najbliższych dziesięciu lat stworzyć orbitalne stacje wojskowe przeznaczone do obserwowania radiolokacyjnego obiektów nieprzyjaciela zarówno w przestrzeni kosmicznej, jak i na powierzchni ziemi.

Powracając do lasera, na kalifornijskiej pustyni Mojave powstaje najnowocześniejszy poligon wojskowy świata. Pentagon wydał już 300 mln dolarów na realizację hasła „Clausewitz plus laser", co ma symbolizować połączenie tradycyjnej taktyki wojennej ze zdobyczami najnowszej techniki. Mianowicie wszystko, od żołnierza do pistoletu maszynowego jest wyposażone w czujnik laserowy, wielkości pudełka papierosów i miniaturowy nadajnik.

Laserowy „strzał", trafiając żołnierza, wywołuje w jego czujniku brzęczenie, które może przerwać wyjmując zamek ze swojego karabinu. Wtedy uznawany jest za zabitego. Podobnie dzieje się w pojazdach. Ich czujniki rejestrują każde trafienie, ale np. czujniki w czołgach wyłącznie na pociski symulujące broń przeciwpancerną. Przy takim trafieniu działa i karabiny maszynowe czołgu zostają automatycznie zablokowane i pojazd jest „zniszczony".

Nie będę tu przytaczał innych przykładów lub liczb, bo mam nadzieję, że każdy zdaje sobie sprawę jakim wielkim złem są zbrojenia. Tym bardziej, że sięgają już tak neutralnego terenu jak kosmos i używają do tego lasera.

Jarosław Patrzałek
ul. Pomorska 71/73 m. 61
25–343 Kielce

piach i muł, i wydawała się martwa. Milczała. Do pokoju na pierwszym piętrze budynku stojącego tuż przy tamie nie dochodził nawet plusk, nawet najcichszy ze szmerów. Budynek też milczał. Rybak przymknął oczy i wyobraził sobie trzydzieścioro pracowników – wszyscy pochylali się nad płachtami i nanosili dane. Wzdrygnął się i jeszcze raz pomyślał, że mógłby zmienić pracę i zająć się poważnymi badaniami. Ale wiedział, że nigdy nie zdobędzie się na wysiłek pisania listów, szukania szansy, przygotowywania do przeprowadzki. Niedaleko stąd leżało jego miasto, w którym się urodził i dorósł. Nigdy go nie opuszczał, jeśli nie liczyć pięciu lat studiów. Ale w tym mieście hydrolog mógł pracować tylko tutaj, przy tamie. Rybak był hydrologiem.

Dotknął papieru i posłuchał jego szelestu, a potem ostrożnie, miękką gumką, zaczął wycierać błędną cyfrę. Kiedy znów chwycił ołówek, zadzwonił telefon.

Rybak popatrzył na aparat, niechętnie sięgnął po słuchawkę, uniósł ją leciutko i natychmiast opuścił. Telefonować mogła tylko dziewczyna, z którą od dawna się spotykał – na pewno chciała spróbować jeszcze raz się z nim umówić i potem jeszcze raz wyliczyć mu wszystkie pretensje, jakie zgromadziła i jakie znał na pamięć. Nie miał zamiaru przeżywać czwartego takiego popołudnia. Trzy dni temu dziewczyna powiedziała mu, że muszą się rozstać, bo Rybak nie ma dla niej czasu i nie ma czasu na życie i potem codziennie spotykała się z nim, żeby powiedzieć, dlaczego rozstanie jest konieczne. Pierwszego dnia próbował się bronić, drugiego milczał, trzeciego potakiwał jej dla świętego spokoju. Zresztą miała rację: spotykał się z nią, bo nikogo innego nie znał.

Telefon zadzwonił jeszcze raz. Rybak poddał się. Powie, że nie chce jej widzieć.

– Słucham – warknął.

– Muszę się z tobą spotkać.

Głos był mu nie znany. Rybakowi wydawało się, że dziewczęcy, ale to nie był głos jego dziewczyny.

– To chyba pomyłka – powiedział. Nie znał żadnych dziewczyn poza tą jedną.

– Na pewno nie – oświadczył głos. – Nie odkładaj słuchawki. Nie będę mógł telefonować jeszcze raz. Nie mam złotówek. A poza tym zaraz mnie znajdą.

Więc to był chłopiec. Rybak wymienił swój numer, przekonany, że chłopiec jednak się pomylił. Nie znał też żadnych chłopców. Nikogo nie znał.

– Zgadza się – ucieszył się głos. – Twoja mama podała mi ten numer.

– O co chodzi? – spytał Rybak, ale głos nie zamierzał odpowiadać.

– Znałeś mojego tatę – oznajmił. – Razem studiowaliście i tata powiedział, że jesteś dobrym człowiekiem.

Rybak spojrzał na swoje tabele, potem na słuchawkę. Nie pamiętał kolegów ze studiów, miał ich niewielu. I minęły trzy lata od dnia, w którym widział ich po raz ostatni. Odebrali dyplomy i razem zjedli obiad. Daleko stąd. Chyba żaden z nich nie miał syna. A może żaden z nich nie znalazł powodów do zwierzeń.

– Kim jest twój tata? – spytał.

– Był. Nie żyje – powiedział głos.

Rybak milczał przez sekundę. Przez głowę przemknęło mu kilka zdań, jakie się mówi przy takich okazjach. Ale wszystkie były za długie.

– Przykro mi – bąknął wreszcie.

– Mnie też – przytaknął głos. Był to miły głos, bardzo bardzo grzeczny, ale zapewnienie brzmiało sucho. Rybak był prawie pewien, że sierota powinna mówić bardziej płaczliwie. Pomyślał, że to jednak ktoś usiłuje zrobić głupi kawał i już zamierzał przerwać rozmowę, kiedy głos rozległ się znów:

– To nie dowcip.

Rybakowi zrobiło się nieswojo. Chłopiec odgadł jego myśli. jeszcze raz spojrzał przez okno. Woda pełzła ku tamie i nieruchomiała. Daleko bielą błysnęła rybitwa. Ktoś poruszył się w sąsiednim pokoju. Nie śnił.

– Mama też – powiedział głos.

– Mama co? – Rybak usłyszał, że się jąka.

– Mama nie żyje.

Głos był jeszcze cierpliwy, ale Rybakowi wydawało się, że pobrzmiewa w nim lekkie znudzenie, jakby chłopiec miał dość nieustannego tłumaczenia tej tak prostej i ostatecznej rzeczy. Śmierć to jest prosta i ostateczna rzecz.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko
Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska
Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 2725/G Z-36

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

USMIECH NUMERU

– CO RYSUJESZ?
– Kozę na trawie.
– A gdzie ta trawa?
– Koza ją zjadła.
– Ale kozy też nie widać...
– A co ma tu robić, kiedy nie ma trawy?

★

– DLACZEGO, JOZIU, otwierasz puszkę sardynek przy akwarium?
– Żeby moje rybki zobaczyły, co je czeka, gdy nie będą chciały jeść!

— Wzalewie? – drążyłam nieubłaganie.

– A choćby – mruknęła i spojrzała na mnie podejrzliwie.

Wiedziałam, że już nic więcej nie powie.

– Co można zobaczyć w zalewie? – spytałam więc sama siebie, ale na głos. – Szczególnie nocą.

Przeszyła mnie wzrokiem, szybko przełknęła ostatnie kęsy i wybiegła z kuchni. Pospieszyłam się i zdążyłam wpaść do naszego pokoju, zanim opróżniła moją portmonetkę. Ale pięć złotych chyba zginęło.

– Daruję ci to – powiedziałam – jeśli się dowiem, co może być w zalewie. Nocą! – krzyknęłam.

– Spuść wodę, to zobaczysz – syknęła. – Nie twoja broszka.

Tak to się wszystko zaczęło, choć zaczęło się może nieco wcześniej, od telefonicznej rozmowy Rybaka, a pewnie jeszcze wcześniej, ale o tym, co było przed telefonem, nie wiem prawie nic. Zresztą nie jestem pewna, czy wiem dużo o tym, co było potem. Chociaż starałam się dowiedzieć.

Rybak też mieszkał w blokach, ale po drugiej stronie zalewu. To trzeba wyjaśnić. Osiedle leży na dwóch niewysokich rozległych wzgórzach, czy raczej wzniesieniach, o płaskich wierzchołkach. Między nimi była dolinka, rozszerzająca się z obu stron. Tam, gdzie powstał zalew, opadała kiedyś ku rzece, z drugiej strony jej dno wznosiło się – aż w końcu zrównywało się ze wzgórzami, dobiegając do szerokiej ulicy, za którą leżało śródmieście. Obydwie części osiedla łączyła betonowa kładka dla pieszych. Ulica nie była potrzebna, ponieważ bliżej miasta szeroka arteria rozdzielała się, prowadząc do obydwu osiedlowych centrów.

Kładka była dość krótka. Miała ze dwadzieścia metrów długości i wisiała nie więcej niż cztery metry nad dnem dolinki, tu tak wąskiej jak parów. Niedaleko kładki zbudowano przegradzający dolinkę wał, który ograniczał zalew. Z kładki widać było doskonale wodę, była prawie na jej poziomie. Wodę można było puścić i dalej, docierałaby do szerokiej ulicy i utworzyłaby jeszcze jedno, prawie zamknięte płytkie jezioro, ale trzeba by wówczas zlikwidować bocznicę kolejową i składy, czy też magazyny, które służyły budowniczym osiedla. Też je było widać z kładki, bocznica dotykała prawie wału i czasem pod kładką stał jakiś wagon towarowy. Zresztą planowano, że woda pójdzie dalej, kiedy osiedle zdobędzie swój ostateczny kształt i magazyny staną się niepotrzebne.

W każdym razie w najwęższym miejscu dolinki była kładka, z której udało się oglądać powierzchnię zalewu albo manewrujące pociągi. Nikt zresztą na to nie patrzył, ten sam widok, może nawet lepszy, roztaczał się z okien domów.

Rybak mieszkał więc po drugiej stronie, w pierwszym bloku, na pierwszym piętrze.

Rybak nie nazywa się Rybak, ale tak go przezwaliśmy i tak już zostało. On mi to opowiedział. Jak się wszystko zaczęło. Zresztą każdy coś opowiadał. Dlatego trochę wiem i też mogę opowiedzieć.

2.

Rybak powoli zaczerniał kratki cyframi. Ogromna płachta papieru ciągle nie chciała się zapełnić, cyfry zajmowały tylko niewielką jej część w górnym prawym rogu. Przypomniał sobie, że to nie jest jego praca; nanoszeniem pomiarów na tabele powinien zajmować się ktoś mniej fachowy. Ale dyrektor wzruszył ramionami – każdy wie, że brak etatów.

Pomylił się, odsunął papier, poszukał gumki i trzymając ją w ręku zagapił się na zalew pęczniejący w blasku południa po kreski dalekich brzegów. Woda przybrała i miała przybierać jeszcze kilkadziesiąt godzin, a może parę dni. Była szara, niosła

Dokończenie na str. 7